

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 17go Numeru: „Szajna Katarynka. — Łowy polskie aż do XVII. wieku, przez W. A. Maciejowskiego. — Mór, z podań szlacheckich, przez K. Wł. Wojcickiego. — Krytyka: Nowe poezye Juliana Korsaka, przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny literackie. — Program.

Szajna Katarynka.

I. W S T Ę P.

Na szkle namalowana Gęsia Karczma pod Toruniem nad Wisłą, przed nią tańczy dziewczyna w stroju, jak opisano niżej, muzyka gra Obertasa.

Panowie i panie!
Światowe kochanie.
Witamy, witamy,
Prześlicznie u bramy.
A wita Was, wita,
Diewczynka przykrajna, a)
I o zdrowie pyta,
Katarynka szajna.

Rodziłam się w szynku,
Mamuniu! Mamuniu!
Wyrosłam na rynku,
W Toruniu, w Toruniu.
Wrocławianki córka,
Jak zdrowie, jak zdrowie,
Porosłam ja w piórka,
W Krakowie, w Krakowie.
W złocistym czepeczku,
W jedwabnym gorsiecie,

ROK 2.

Tańczę po mimiecku,
Po świecie, po świecie.

a) Przykrajna, pograniczna, na którą strój mieszany.

II.

Na szkiełku słońce, księżyc i gwiazdy, pod niemi widać część kuli ziemskiej z Polską. Muzyka gra: Kiedy ranne wstają zorze.

A to są niebieskie gońce!
A to jest miesiąc i słońce!
Jak do koła Polski chodzą,
I za sobą gwiazdy wodzą.
Słońce mówi panu swemu:
Nie pokażę twarzy mej.
Po co każesz świecić złemu?
Po dniu jasnym, zły tam broi.
A Bóg mówi: Świeć ty złotem,
Świeć ty słońce po staremu.
Noc gwiazdzistą dam ja potem,
W niej spoczynek dam dobremu. —

III.

Szkiełko wyraża Zamek Krakowski. Muzyka gra starego poloneza.

A to jest zamek krakowski?
Pielesz b) polskich królów dawna,

I katedra starosławna. —
 Dom odwieczny, a bez zmayı,
 Który gorzał już trzy razy.
 Od Łokietka Władysława,
 Wszystkie króle w pocziwości
 I świętego Stanisława,
 Leżą w sébrnej trumnie kości.
 Na Wawelu zamek leży,
 A nad zamkiem bije z wieży,
 Dzwon ów sławny Zygmunowski, c)
 Tym, co legli w łasce Boskiej:
 Bam bambalam, bam bambalam,
 Pokój wam, — pokój wam. —

b) Pielesz, pieluchy, miejsce urodzenia.

c) Dzwon Zygmunowski, tak zwany od Zygmunta, który go sprawił, potrzebuje 24. ludzi do poruszenia serca tylko. Dzwon ten tylko w największe święta i najważniejsze zdarzenia odzywa się z wieży.

IV.

Na szkiełku widać wyobrażenie męża małego wzrostu, okrytego zbroją, mającego na głowie koronę i trzymającego oburącz na ramieniu miecz ogromny, prosty. Koło niego leżą pobite ludzie w strojach kusych, a czarci chwytają dusze, które z nich wychodzą. Muzyka gra melodyą Elsnera: Przed Krakusem ludzie żyli, Nieznający złota etc, z opery Wiśliczanki.

Oto idzie król Łokietek,
 Co to o nim ludzie wierzą:
 Że nie korcem chłopą mierzą.
 Nie wielkiego był on wzrostu,
 Lecz Piast z Piastów, bił po prostu.
 Zarwali się z nim Krzyżaki;
 Otoż dał im się we znaki.
 Otoż huknął nad Szoldrami:
 A bijże ich! bo Bóg z nami!
 I jak trzcinę ich wyłożył,
 I diabłowi dusz przysporzył.
 A znaj Szoldro znaj!
 Co to Piastów kraj!
 Do nas się nie pchaj!

(Dokończenie będzie w następującym Numerze.)

ŁOWY POLSKIE AZ DO XVII. WIEKU.

(Dokończenie.)

5. Polowanie zagonowego szlachcica i chłopą.

Skromnusięńko wybierał się na łowy ubogi szlachcic i chłopęk. Tamtego polowanie miało

zwykle na celu zbieranie ptastwa, bądź sidłami na drzewie, bądź okrągłym ołowiem w siarczystym płomieniu¹⁹⁾. Ten nawet strzelby nie nosił z sobą, ptasiem zwykle zatrudniając się myślistwem. Obudwom za cały orszak stali piesek, i choży pacholek, który szczególnież téż we święto, jako dniu przeznaczonym na odpoczynek, zachęcał do łowiectwa, kusząc pobożną duszę temi słowy: „gospodarzu, teraz czas do pola, cicho, rosa na psy, osłyszno, nie ucieczć kościół, bo nie zając.“ To zobaczywszy piesek, łaszaniem się i przymilaniem, wspierał mowę chętnego sługi, a gospodarz dawał się łatwo uwieść pokusie, zwłaszcza, gdy we święto nie było omieszkać w gospodarstwie²⁰⁾.

6. Nauka łowiecka.

a. Myśliwiec, technika i muzyka łowca, znajomość psiarni.

Umiejętność myśliwca zależała na tem, ażeby wiedzieć, jak nabywać rusznic i prochu, jak i czem i na jakie zwierzę polować; jak przyspasabiać do polowania ptastwo i psy; jak przyrządzać psiarnie, czem psów leczyć i jak lekarstwa dla nich przyrządzać, nakoniec, jak się obchodzić z ptastwem i psami sposobnemi do polowania; tudzież, jak się samemu zaprawiać na to, ażeby i po tygodniu bawiąc w kniei, umieć sobie poradzić w każdej dobie²¹⁾.

Miał myśliwy osobny język łowczy, i znał psiarską muzykę. Pysk psa gończego nazywał trąbą, zająca kotem lub kotką, uszy zwierzęce słuchem, tłustego zwierza skromnym, prędkiego ciekawym²²⁾. Podług różnych, które w czasie polowania miały psy zatrudnien, lub podług narowów, którym ulegały, dawał im nazwiska różne. Przejemcą nazwał psa, który opowiadał zająca szczekaniem, zwolując towarzyszków, ażeby tuż za nim postępowali, gdy zwącha lub stropi zwierza. Im bliżej był zająca, tem mocniej szczekał pies taki, i różnych dobywał głosów, dla obznajmienia myśliwego o tem, jak daleko jest zdobycz, na którą czuwa. Psa, który na-

prowadzony od przejemcy, umiał znaleźć zająca popędzcą, albo znalazcą nazywał myśliwy, a psa, który prawie z wiatrem równie ścigał poszlakowane zwierzę, gońcem mianował. Tym to sobakom dopomagali wyprawca i poprawca, czyli psy wolniej za gońcem postępujące i zważające na to, ażali goniec zbyt pędem uniesiony nie minął ukrytego na boku zająca. Tak więc, gdy goniec w prostej linii biegał, wyprawca zbaczał w prawo i w lewo szukając zwierza, a dopomagał mu w tem poprawca, czyli pies, który umiał ukrytego zająca odkryć i złapać.

Od narowów, które miały, nazywał też psy rozmaicie. Zasadzcą mianował tego, który czając się z cicha, dopadał na boku tropionego przez innych psów zająca, i pożerał go na miejscu, za nim myśliwiec przybył. Wspacznym, co wspak albo szukał, albo gonił zająca, w różne wykręcając się strony i tak różne po sobie zostawiając ślady. Postronnym, który się nie trzymał psów innych, lecz, własnym niby kierując się rozumem, podług własnego domysłu zająca szukał. Zabawcą, który stanawszy na jednem miejscu, gdzie zająca poczuł, ani na krok nie chciał pójść dalej, chociaż insze psy z lepszym węchem dalej goniąc zwierzę, ostrzegały go o tem, że próżno tu zająca szuka. Bydlarzem, który w odurzeniu, zamiast zwierzę, które gonił, pasące się na polu bydło łapał i kasał, rozumiejąc je być wysledzoną zwierzyną. Na zalety te i na wady baczność mając myśliwiec, kierował psami na polu i wady ich prostował, już to głosem, już muzyką, czyli trąbieniem, znać dając każdemu, co należy czynić. Inaczej trąbić do swory i do psiej odprawy: inaczej zakładając i psom się odzywając: inaczej porozumiewając się z goniącymi²³⁾.

Długiem ćwiczeniem nabywał tej sztuki myśliwiec, z psiarka na myśliwego, a następnie na bakalarza postępując. Jego zdatność szczególniejszą okazywała się w znajomości psiarni i na

polu. Myśliwiec starał się naprzód u psów o to, ażeby go miłowały. Tym końcem przebywał zawsze z nimi, głaskając je i karmiąc, nie tylko u koryta, ale i w wacku (w worku, w kieszeni), miał zawsze na pogotowiu jakowy dla nich przysmaczek. Sypiał i igrał z nimi, nęcąc ich do siebie wszelkim sposobem. Ilekroć na polu przyszedł do niego pies, rzucał mu zawsze myśliwy kęs jadła i łagodnie do niego przemawiał. Toż samo czynił, kiedy pies przyszedł z odprawy, zawsze go czemś pożywiając i głaskając. Starał się także usilnie o to, ażeby miał u psów zaufanie, czyli, ażeby wlał w nich przekonanie to, że snadniej za jego przywiedzeniem wszelką wykonają robotę, niż gdyby polowały bez niego.

b. *Chłopiec i bakalarz.*

Na myśliwego obierano chłopca, mającego do tego skłonność z przyrodzenia. Ten uczył się naprzód myślistwa w domu, nie bawiąc na polu. Gotował w kotle strawę psią, zacierał ją, rozbijał i t. p. Uczył się od starego myśliwca, jakiego dla psów przyspasabiać lekarstwa, a szczególniejszą wprawiał się w muzykę. Gdy się nauczył jakkolwiek trąbić, brano go w pole, ażeby na małym kłusując koniku (podjazdek), prowadził sfory psów, i chleb dla nich w biesagach nosił. Wychodził w pole pod dozorem starego myśliwca, czyli bakalarza. Ten uczniowi swemu wszędzie towarzysząc, prostował go we wszystkim. Gdy rzecz dobrze pojął i robił na polu wszystko około łowów należycie, chłopiec ów postępował na myśliwca, a nawzajem dawano bakalarzowi innego chłopaka na naukę²⁴⁾.

¹⁹⁾ Miaskowski I. str. 217. — ²⁰⁾ Strojnowski w przemowie do opisanego porządku stawowego. — ²¹⁾ Dosłownie z gospodarstwa jezdeckiego, strzelczego i myśliwego. — ²²⁾ Klonowicza Flis. 27. — ²³⁾ Dosłownie z Ostroroga myślistwa z ogary. — ²⁴⁾ z Ostroroga dosłownie.

W. A. Maciejowski.

M O R

Przez **K. Wł. Wojcickiego.**

Na wyniosłym wzgórzu, po nad Wisłą, stał zamek potężny rycerza wielkiego. Był ten rycerz bogatym, a pod zamkiem, i za Wisłą, jak zasięgnął okiem, wszystko, wsie i miasta jego; żaden szlachcic nie miał tam dziedzictwa, wyjąwszy jednego, który, że nosił czapkę z karmazynu, takiż żupan i kontusz, nawet pas czerwony, nazwany był Burak. Pan zamku, lubo wielu braci szlachty drobnej wytepił, nie zaczął nigdy Buraka: bał się go, czy szanował. Raz na łowach w blizkiej puszczy, wypadł rozjuszony niedźwiedź, wydarł rycerzowi oszczep, którym go chciał przebić, i byłby mu kości połamał, gdy Burak przyskoczył, porwał niedźwiedzia, powalił i zdusił. — Drugi raz Tur miał rycerza porwać na rogi, Burak wyskoczył z gąszczu, a byk rozżarty bardziej barwą czerwona, zwrócił się nań w szalonych skokach, tocząc pianę, najeżywszy gęstą grzywę, i potrząsając groźnie brodą: z nabiegłych krwią oczu, sypał iskry zapalczowości. Burak rzucił mu w ślipie czapkę, uniknął pierwszego uderzenia, po czem zręcznie przyskoczywszy, pochwycił za rogi. — Już go nie puścił, nagiął karku, a on Tur, postrach puszczy i łowców, ukląkł bezsilny. — Burak spojrział dumnie na pana zamku, jego dworzan — i drużynę myśliwych stojących z podziwem i trwogą, a wzrok jego i uśmiech wyrażał, jakby mówił:

„Patrz rycerzu, masz zamek, włości i skarby, drzałeś przed Turem; a ja, ubogi szlachcic, kazałem mu uklęknąć, i słucha mię, jak prawdziwego pana tych puszczy i gór.“

— Nużę (rzekł po chwili), czy was strach tak trzyma za boki, że żaden z was nie podniesie oszczepu do zabicia tego byka? Chceta może, żebym go zaciągnął do zamku. — Hola! niechcę męczyć ręki daremnie.

Kiedy żaden się nie ruszył, Burak przyciągnąwszy Tura przed P. zamku, zawołał już gniewny:

Panie rycerzu, przebijcie go oszczepem, miał was podrzucić wysoko, lepiej, że sam zginie.

Pan nie mogąc znieść groźnego wzroku Buraka, posłuszny jego woli, przebił go oszczepem, a Tur z jednem westchnieniem upadł martwy, i czerwoną posoką zrumienił murawę. Burak w niej znaczał czapkę, a włożywszy na lewe ucho, poszedł do domu, śpiewając wesoło.

Od onego czasu pan zamku, nigdy nie ruszył kopca szlachcica, nigdy nie przyorano mu między: a ile razy wchodził do zamku, dworzanie czapkowali, jak przed wielkim panem.

Burak miał dawniej żonę, ta mu przy powiciu gładkiej córki pomarła. Dziewczę podrosło w lata, i już liczyła ośmnastą wiosnę, a żaden zalotnik nie pokazał się w domu. Dworzanie mile na nią w kościele poglądali; lecz żaden nie śmiał w dworku ukazać się szlachcica: raz bowiem schwytał w izbie, jak smalił koperczaki ulubiony marszałek dworu pana zamku, a dziewczę krzyknęło przestraszone, gdy jej chciał ukraść całusek: Burak porwał zalotnika za kark, wyniósł na podwórze, i przerzucił nim gniazdo bocianie na wyniosłej lipie. Upadł biedak w pokrzywy, i rozbity skołał. Pan zamku wyprawił mu suty pogrzeb, nie śmiejąc szlachcicowi robić jakiegokolwiek wymówki. Odtąd każdy unikał tego dworku, w którym tak nieradko przyjmują zalotników.

Od Turecczyzny wiatr zawiął, i z nim przywiało martwe powietrze. Marli ludzie po siolach i miastach, uciekali więc kupami do lasów i kniei. Choć zamek rycerza stał wysoko, dowiała tam zaraza, i w jednym dniu dwonastu dworzan pomarło. Pan zamku przestraszony, dosiadłszy konia, uciekł, trwogą zdjęty, ale gdzie się obróci? Do puszczy bał się, po wsiach i miastach jego mra ludzie: jechał więc osowiały, opuściwszy głowę na piersi. Kiedy z zadumy podniósł oczy, ujrzał się nagle przed dwor-

kiem Buraka, który zdrów i czerstwy poostrzał nóż na kamiennym progu, i zdierał skórę z niedźwiedzia, którego świeżo przyniósł z kniei. Dojrzał rycerza i szlachcic, zapraszał więc go rado w swoje progi.

A czy niema tu moru, zapytał trwożliwie.

Niema (odrzekł Burak), Boska opieka czuwa nad nami: niech się stanie święta wola jego.

Rycerz zsiadł z konia, a wszedłszy do dworku, ujrzał na stole chleb i sól na białym przykryciu; przy nim stała, by róża i lilia, krasna Marynka.

To moja dziewczka, rzekł Burak: no! dziewucho, przynieś, co tam masz gotowo: czem chata bogata, tem i rada.

Pan zamku jak raz spojrzął na Marynkę, już więcej oka z niej nie spuszczał, przylgnął do razu oczyma i sercem. I dziewczucha mile zpod oka spozierała, stał przed nią on rycerz, pan tak możny, bogaty, a wszystko do okola, to wie i miasta jego.

Szlachcic często wychodził do puszczy na łowy, by na stole zwierzyny nie brakło. Rycerz zostawał z Marynką, pomagał jej w pracy, czy na polu, czy w ogrodzie: wkrótce dziewczynę oswoił — i bardzo przylgnęła i ona do niego oczyma i duszą.

Burak raz się opóźnił, wracał z kniei, niosąc na barkach zduszonego niedźwiedzia. Rzucawszy go za płotem, spojrzął i widzi, jak rycerz pieści się z Marynką. Zmarszczył brwi, czapkę na lewe ucho nacisnął, i wszedł na ganek. Wystraszona dziewczyna z krzykiem uciekła, a szlachcic wyrzekł ponuro:

Gość w dom, Bóg w dom! przyjąłem was — za moje gościnę złe się wyplacacie. Mór już ustał, Bóg odwrócił plagę. U was panie na zamku wesolo, patrzta! (i wskazał na wieże) świeci się jasno, wszyscy zdrowi czekają was radzi. —

Rycerz nie odrzekł słowa, wsiadł na konia i odjechał.

Upadły śniegi, mrozy ścięły lodem rzeki:

Marynka zasłabła, a leżąc w ciężkiej niemocy, błagała litosci ojca, który ją pielęgnował, wspominając we śnie i na jawie pana zamku.

Szlachcic wiedział, co się święci, rzekł więc dnia jednego:

Pójdę do niego, a jak krzywdy godnie nie nagrodzi, zabiję! i uderzył silnie w stół pięścią, aż się rozpekł na póły.

Nie zabijaj go, zawołało słabym głosem dziewczę.

Burak pod wieczór poszedł do zamku: usłyszał zdziwiony kapełę huczną, cały zamek jaśniał jak słońce.

Co to jest? (pomyślał) niech co chce będzie: Boga wzywaj, a ręki przykładaj. I spróbowawszy, że szabla łatwo w pochwie węzowej chodzi, wszedł przez bramę. — Strażnik rad go powitał, i rzecze: Dobrze, że WMość przychodzi, pan się nasz żeni, i nie długo ślub będzie.

Jak piorunem rażony stanął Burak, ale po chwili drząc cały z gniewu, wchodzi na ganek. Dworzanin nie chce go puszczać; szlachcic machnął ręką, i o staję upadł prawie bez duszy. Na jęk jego wypada służba pana, lecz ujrzawszy Buraka, z przestrachem go przepuszcza, wskazawszy salę weselną.

(Dokończenie będzie w następującym Numerze.)

KRYTYKA.

Nowe Poezycy Juliana Korsaka. Tom I. Romeo i Julia — Wiersze różne. str. 239. Tom II. Twardowski — Kamoens w Szpitalu. str. 220. Wilno 1840. r. Druk Józefa Zawadzkiego.

Julian Korsak powtórę już ogłosił swoje poezycy, których próby pierwsze wyszły przed kilką laty w Petersburgu i dostały honorów przedruku (les honneurs de la contrefaçon). Niewiem, czy dla stosunków swych z wielkim poetą, czy dla jakich innych przyczyn; pierwsze poezycy Korsaka, zjedały mu większą podobno, niż na nią zasługiwał sławę. Surowa krytyka zaledwie kilka urywków przyjąć dziś może za poezycy, resztę do młodzieńczych prób pospolitej wartości odsuwa. Któż bowiem

z ludzi dobrze wychowanych i nieco więcej czucia mających, nie utworzył jakiej Elegii lub piosnki, podobnej zawartym w pierwszym zbiorze? Mijamy to, że wiele urywków w widocznych przetęsyach do wdzięku (grace) najniesmaczniejszymi skażone są wyrażeniami; ależ myśli przedewszystkiem braknie i wszędzie zbyt oczywiste jest naśladownictwo nowych Mistrzów; a naśladownictwo nader słabe. W nowych poezjach Julian Korsak, ozwał się zupełnie, jak wprzód, ni śmielój, ni mocniej, tym samym tonem i równie słabo. Owszem, jeśli pierwsze poezye uważały się za próby, dawały większe nadzieje, niż ziszcily nowe. Zawarte tu wiersze różne, są pewnie mniejszej wartości od tych, któreśmy czytali w pierwszym zbiorze, a Twardowski (o którym zaraz powiemy) gorszy jest od arcydzieła, poczynającego Tom najpierwszy (Geniusz i Czas).

Tłomaczenie Romeo i Julia Shakspeara, dokonane gładkim wierszem, dziwnie się dziś wydaje, gdy Ducis i jego manjera wyszły z mody, gdyżmy Shakspeara poważać, cześć przywykli i nieinaczej się brać do przekładania go, jak z największą w świecie ścisłością, sumiennością, staraniem wydania jego właściwego charakteru i piękności. Przekład J. Korsaka, jest rodzajem starodawnego wolnego tłumaczenia, które do tego stopnia dochodzi swobody, iż całemi scenami pomiata. Cóż mówić o wyrażeniach, o przytrudnych, albo przytwardych uszom urywkach, które poobcinano bez litości. Tłomacz spuszczaając się na wielce poważne zdanie komentatorów Shakspeara, rzezał w nim żywe mięso tam i sam, właśnie, jak to dawniej z Horacyuszem czyniono, gdy go dla szkół dawano. Cóż się stało? Oto Romeo i Julia Korsaka, nie jest Shaksperową sztuką, ani jego, nie okazuje nam ani charakteru autora, ani tłumacza; jest to coś napisane gładkim wierszem, bez imienia w literaturze. Ni tłumaczenie, ni oryginał, ni naśladowanie — mieszanina źle pomyślana.

Gdyby tłumacz chciał się być zastanowić, gdyby chciał być przeczytać, co o Shakspearze nowemi czasy napisano, gdyby się był przejął zbawienną bojaźnią, przystępując do dzieła; nie byłby utworzył swojej Julii i chęć pochwalenia się kilkudziesiąt zgrabnemi wierszykami, byłaby ustąpiła sumiennemu zapałowi wydania oryginału, z jego charakterem, piętnami, wadami nawet.

Nie już nie powiemy o wierszach różnych, między którymi istnie, są różne a różne wiersze.

Drugi tom terażniejszego zbioru zaczyna dyalog dramatyczny, pod tytułem: „Twardowski Czarnoksiężnik.“ Wyznajem, żeśmy nie więcej spodziewali się, zważając sam obrany przedmiot, niżeliśmy znaleźli. Autor, wcale nie kryjąc się z naśladowaniem Fausta (i Manfreda), pobrał myśli z niego do charakterów i scen całych, zaprawił je źle rozartami szczegółami historycznemi, źle użytymi podaniami gminu i stworzył z tego sztukę słabą i mierną.

Wistocie, niewidzim tu dobitnie odmalowanego charakteru Czarnoksiężnika (który chodzi zakochany i mdleje), tak, jak go przedstawiają podania gminne; niewidzim tu obrazu epoki i czasu, w której rzecz się dzieje, nie spotykamy akcji dramatycznej, żadnej sztuki w zawiązaniu i rozcięciu węzła. Za wszystko stać mają wierszy kilkadziesiąt gładkich, mile dźwięczących, a po większej części wyrażnie wsztukowanych. Charakter Anny żaden, matki jej nie rozwinięty także, pieniążka Alchemika ledwie by pospolite przystał komedyjce, a i w niej byłby pospolitym.

Kilka rozmów, w których są wspomnienia historyczne tej epoki, nie nadają sztuce kolorytu czasowego, bo one tylko są, jakby suchą datą, na czele woluminu. Każdy pojmuje, że nie na tem zależy odmalowanie epoki, wskrzeszenie jej poetyczne, aby wyliczyć suche wypadki, pod ten czas zasła. To też gawędy mieszczan o wojnach Kazimierzowych z Krzyżakami, o wychowaniu jego dzieci, nie nie mówią, prócz, że autor czytał z uwagą Bielskiego; a mają minę naciaganą, wymuszoną, i nienaturalną. W charakterze, mowie, czynach osób działających, pełno jest do tego przykrych anachronizmów, nadewszystko uderzają wyrazy, wyrażenia, myśli, oczywiście tak późniejsze, tak niezgodne z malowanym czasem i osobami, że sam autor trochę się zastanowiwszy, uczuć by to musiał.

Powtarzamy, że okupić tego nie potrafią, tam i sam rozrzucone wspomnienia współczesnych wypadków; są one raczej dowodami, jak autor źle pojął sposób poetycznego odtwarzania łdanych epok. Dwaj słudzy pokazujący się kilka razy, są jakby wyciętemi z Fredra komedyi. Sam Szatan niema ani dowcipu szatana, ani złości szatańskiej, jest to jakiś emeryt, który pełni swój obowiązek machinalnie, bez zapału, który ziewa, łapiąc dusze ludzkie. Jego umowa z Twardowskim i poprowadzenie Mistrza na Babią Górę — niezrozumiałe, i źle przyszyte; nie lepiej dosztukowany i Epilog. Słowem, co najwięcej tu czuć, to to, że dyalog był klejony, nie natchniony i utworzony; że autor złożył go z kawałków rozpierzchłych, które nie mocną nitką powiązał. Charakter Akademika byłby podobno najlepiej pomyślany i wystawiony, gdyby był oryginalny.

Koniec końcem, Twardowski J. Korsaka, będzie jednym więcej dowodem, jak trudno, jak niebezpiecznie porywać się na podania gminne, tu zaś szczególnie, gdy Faust, Manfred, Paracelsus wyczerpnęli najlepsze myśli, trudno było autorowi utrzymać się na równi z Goethem i Byronem, uchronić się naśladownictwa, a trudniej jeszcze przeczytawszy obu, obronić się było cisnącym się mimowoli cudzym myślom. — Sposób, jakiego użył J. Korsak dla unarodowienia przedmiotu swego, wystawieniem uroczystości Kurkowej (dość nienaturalnie i teatralnie) przywiedzeniem kilku rozmów, nie dobry; gdyż przedewszyst-

kiem chodziło o główną postać, która całkiem jest obca i niczem się nie wiąże z polską. Uczuł to autor, gdy Twardowskiego swego wystawił wracającym z obcych krajów i ziemczonym. Nie śmiemy dodawać zarzutu, że autor nie trzymał się ściśle podań, że je przekształcił zupełnie; byłaby to rzecz darowana, gdyby dzieło miało wartość poetyczną; lecz podobno zyskałoby wiele, gdyby się więcej zbliżało do powieści gminu.

Najwidoczniejszymi w Twardowskim plagiatami są: Scena z Akademikiem, Scena Sabatu, słabe odbicie Goethego, wywołanie wrózek, naśladowanie z Manfreda widoczne, dwaj słudzy i pan Pieniążek, naśladowanie Fredra, Anna w więzieniu obłąkana, naśladowanie Małgorzaty w Fauscie — że pominiem pomniejsze. Sama katastrofa, której podania nie mają, zbyt żywo przypomina pierwszą część Fausta, którą tu autor tak swobodnie na swój obrócił użytek.

Bogaty przedmiot pod piórem poety, obrócił się więc w pospolite bardzo obrobienie, zużytej myśli, która w innych literaturach tak wspaniale odkwitła, czyni nas bardziej jeszcze wymagającymi względem autora, po Goethem targającego się na drugiego Fausta.

Zakończa zbiór poezyi Kamoens w Szpitalu, Opowiadanie poety. Byłoby to może najlepsze ze wszystkiego, gdyby poeta rozwinął lepiej, a opowiedział naturalniej przygody swego bohatera. Lecz opowiadanie Kamoensa, jest teatralne, wymuszone, nienaturalne, sztywne, i choć w niem tam i sam wypracowane piękne i gładkie wiersze błyskają; nie czyni to jednakże całości doskonałą. W fakturze wiersza czuć wielce, że autor obrał sobie za wzór wielkiego Adama, tak i w toku myśli i w sposobie wyrażenia się. Lecz także od niego daleko, jak mozolnie przechodzi mu to naśladownictwo. Chętniebyśmy odstąpili zarzutu nienaturalności w opowiadaniu, gdyby ono żywym zapalem i uczuciem odznaczało się. Lecz niestety, wszystkie nad życiem poetów, ich nieszczęściami, ich uczuciem oklepane gawędy nie są nawet ożywione zapalem, ani ubrane w nowe szaty wyrażenia. Czuć wszędzie, że autor silił się na wydanie uczucia, ale płatał się w emfaticznych i wysiłonych swych frazach.

Wielu zapewne będzie tego zdania, żeśmy za surowo osądzili pana Korsaka. Nam się zdaje, że tak nie jest. — Uważaliśmy go jako Satelitę Jowisza, któremu blasku najgłówniejszego Jowiszowe światło użyczyło; tak uważamy go i z dzisiejszych utworów, które gasnącym i mdłym płomykiem połyskują. Powiedzieliśmy surową prawdę o Romeo i Julii, toż o Twardowskim, bez prywaty *sine ira* (bo autora nie znamy) lecz surową dla tego, że imię dość wzięte Korsaka, czynić nas musiało więcej wymagającami; baliliśmy się też, aby czytający, a mniej uprawnieni ludzie, nie wzięli tego za dobre. Potrzeba jednak coś pochwalić — pochwalim wiersz i jego budowę materyalną, pochwa-

lim rymowanie zręczne, pochwalim, że tak powiem, ciesielską robotę autora, która istotnie zasługuje na pochwały. Lecz, czy cel poezyi dopięty, gdy wiersz gładki mozolnie się odkuć uda? Na to dziś niepotrzeba odpowiedzi.

J. J. Kraszewski.

Korrespondencya.

Najwięcej teraz zajmuje umysły publiczności nietylko polskiej, ale i francuzkiej nowo wyszłe dzieło Pana Colson — Sur la Pologne et les Cabinets. Autor zamierzył sobie ten sam cel w P. R. w broszurze wydanej w roku 1839., pokazać naocznie, że sympatya, jaka łączy Francuzów i Polaków, nie na urojeniu i kaprysie, ale na rzetelnym interessie polega i że sympatya ta bezowocną nietylko zostać niepowinna, ale nadto nader płodną stać się może. Tyle tylko powiem, co każdy, kto rzuci okiem na książkę P. Colson i na książki P. R. . . ., materyalnie nawet zobaczy, że P. Colson dążąc do przekonania publiczności francuzkiej, właściwszą obrał drogę, jak P. R., dla czego? Bo p. Colson opowiada fakta: 1. Sumarycznie przeszłość polską w rozmaitych epokach, a wykazuje powody, dla czego jedro wspólne drugiej podobne nie jest. 2. Przechodzi życie narodu polskiego po dziś dzień, przejście to opiera się na faktach czerpanych ze źródeł, jakimi są Rulhier, Ferrand, Ogiński, M... L... i z tych dopiero wyprowadza wnioski; nareszcie przechodzi materyalne zasoby każdej części Polski, i zsumowawszy to razem, stawia w paraleli z obrazem innych mocarstw. Przepuszczając nawet, że opinie p. Colson są fałszywe, to jeszcze mu się należy pewna zasługa, że pokazał szyk i porządek w rzeczy, która dotąd cudzoziemcom wydaje się jak niezrozumiałe chaos; że cytuje nietylko źródła, ale w opowiadaniu historycznym, żywcem daje wyciągi z autorów, z których czerpał. Po tej nici, którą pan Colson wskazał, każdy łatwo uformuje sobie insze i pewne zdanie, gdyby zdanie pana Colsona miało być fałszywem. Pan Colson zrobił to, że kwestya, którą traktuje, przestanie być zagadką, jak o niej dotąd powszechnie ludzie myślący w Europie życzliwi nawet trzymali. I w tem właśnie pan Colson więcej korzyści przynosi, niż P. R. . . ., który z zapalem i talentem pisze, ale nie dowodzi, i jest zawsze piękną, ale czerzą deklamacyą. Zresztą, co dzieło P. Colson szacownem czyni, to zbiór dokumentów autentycznych, które albo rozrzucone po różnych zbiorach, dotąd całości nie tworzyły, albo nawet wcale były nieznanne. — Wprawdzie p. Colson miał łatwości, które nie każdemu pisarzowi służyć mogą. P. Colson, człowiek majątny, służył w dyplomacyi, i jako se-

kretarz legacyi długi czas strawił na wschodzie, gdzie wiele rzeczy mógł wiedzieć, wróciwszy do Paryża, jako członek dyplomacyi, miał wstęp do archiwum interesów bieżących, z czego dla swój książki korzystał. Zapewne tem uchybił swój powinności dyplomatycznej, i zamknął sobie tu karyerę, ale Colson, jest człowiek majątny, chce sobie zrobić imię publicysty, poczem wejdzie do Izby Deput. i na tej drodze zechce zapewne naprawić, co sobie na drodze regularnej służby popsuł, jak mu się ta kombinacya uda, nie wiem, Dzieło to w Paryżu robi wrażenie, które łatwo ocenić z dzienników francuzkich, skoro się tem dziełem zajmą, co, o ile mi wiadomo, niebawem nastąpi.

W piśmiennictwie wychodzić zaczął i już pierwszy numer wyszedł „Nowy Dziennik.“ Właścicielem takowego, jest P. Hr. Władysław Pl.... Redaktorami P. Wr... Felix i Kop..... Stanisław, Autor poezyi Nałęczka.

W Bruxelli wyszły romans „Partye w 1833. roku“ przez Wincentego B..... Pomimo wielkiego popędu politycznego życia, nader obojętne wszakże zyskał przyjęcie.

Pan Sowiński dał w tych dniach koncert, na którym wobec licznie zgromadzonej publiczności grał własne fantazy ze śpiewów narodowych z ostatnich czasów. Artysta licznymi oklaskami i widocznym zadowoleniem słuchaczy był przyjęty.

Między nowemi książkami (nouvautés) francuzka najwięcej dziś ma *de la vogue*, a oraz i zalety romans *La fille d'honneur*, powieść historyczna z czasów Karola IX. i teatr de *Mme Ancelot*, który więcej w czytaniu podoba się, niżeli na scenie, gdzie wszakże niepoślednie otrzymał miejsce.

NOWINY LITERACKIE.

P. W. Jabłonowski podał do ministra Oświecenia w Paryżu projekt o zabezpieczenie się od przedruków Belgickich i o ugruntowanie własności autorskiej. Projekt ten został dobrze przyjęty i do decyzji kommissyi oddany.

Dzienniki Amerykańskie w New-York zajęte są obszernymi kolumnami o Polsce przez P. Majora Tohmana, ro-

dem z Warszawy. Ziomek nasz daje poznać Amerykanom geografią, historyą, stan socyalny, naukowy, gospodarski Polski. O tem wszystkiem autor wyraża się z jasnym pojęciem i ze szczegółami, przechodzącami nawet zakres dziennikarstwa.

23. Marca dano w Londynie na teatrze Convent-Garden nową komedią w 3ch aktach, pod tytułem „The Embassy (ambassada) przedstawiającą poselstwo polskie, zapraszające na tron Henryka Walezyusza, Łaski gra główną rolę.

Ogłoszenie. Znany już z kilku dzieł wydanych X. Lud. Ad. Jucewicz, ogłosił prospekt na wydanie noworocznika religijnego, w ciągu bieżącego roku, pod tytułem „Ofiarnik“, mającego mieścić: powieści, obrazy, wyjątki tłomaczone z Ojców SS., rozprawy (wyjawszy polemiczne), mające na celu Religią i Historyą kościelną, ale tylko krajową. Nadto niedrukowane akta i dokumenta, wyjaśniające dzieje Chrystyanizmu w Litwie.

Patryotyczne czeskie towarzystwo zamierzyło sobie wydawać przekłady klassycznych pisarzy wszystkich wieków i narodów. Z pisma peryodycznego „Kwety“ dowiadujemy się, że do skuteczenia tego planu, zjednoczyli się najznakomitsi czescy pisarze. Klassycy Grecy i wschodni najprzód wyjdą na świat, ale obok nich Shakespeare, Calderon, Cervantes, Goethe, których tłomaczenia już do druku gotowe.

Program. Ogłoszony został konkurs do napisania polskiej książki, pod tytułem: „Szkoła domowa,“ mająca zawierać 1. z Religii: a) Wykład nauki kościoła; b) rys historyi kościelnej w Polsce, t. j., ustanowienie hierarchii duchownej, świeckie duchowieństwo, jego władza, przywileje; zakony, odszcpienstwa, schizma, unia; c) obraz Polski pod względem religijnym, o nabożeństwie Polaków, o SS. polskich, o miejscach cudownych, zwyczajach pobożnych; opis znakomitszych kościołów.

2) Historya Polska. Obraz dziejów polskich, jasno, raźnie, prosto skreślonych, od początku państwa, aż do najnowszych czasów: co osłabiło władzę rządową, zkąd wynikła wyuzdana wolność jednej klasy narodu, a niewola drugiej i niemoc państwa; jak naród odzyskał przytomność, poznał źródło nieszczęść i uczuł potrzebę reformy. (Dokończenie nastąpi.)



ORĘDOWNIK wychodzi w Poznaniu co tydzień w Niedzielę. Prenumeratę półroczną na 26 Numerów, wynoszącą 9 Złotych polskich przyjmują królewskie pocztamty, księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i drukarnia w Poznaniu na Garbarach No. 45., gdzie się Orędownik wydaje.

Redakcyja Orędownika: **A. Popłinski. J. Łukaszewicz.**